

TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# **ZNASZ-LI TEN KRAJ?...**

# Tadeusz Boy-Żeleński

## Znasz-li ten kraj

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23528370](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23528370)*

*Znasz-li ten kraj?...:*

### **Аннотация**

Znasz-li ten kraj to zbiór felietonów autorstwa Tadeusza Boya-Żeleńskiego, dotyczących Krakowa schyłku XIX i początków XX wieku. Boy-Żeleński na kartach swoich felietonów odtwarza mit krakowskiej bohemy artystycznej, skupionej wokół osoby Stanisława Przybyszewskiego, a także uwiecznia niepowtarzalną atmosferę miasta. W lekkich, humorystycznych felietonach przywołuje wiele anegdot, przede wszystkim związanych z Przybyszewskim i jego cyganerską świtą. Ten obraz stworzony z właściwą Boyowi-Żeleńskiemu finezją, jest ważny nie tylko ze względu na wartość przywołanych wspomnień, lecz także zapis tworzenia się mitu krakowskiego środowiska artystycznego tamtych czasów.

# Содержание

Prawy brzeg Wisły	4
Mury i ludzie	14
Pański Kraków	23
Zakrystia	36
Odwet Stańczyka	47
Конец ознакомительного фрагмента.	51

# Tadeusz Boy-Żeleński

## Znasz-li ten kraj?...

### Prawy brzeg Wisły

Kiedy, z okazji przedmowy do nowego wydania *Słówek* i ćwierćwiecza **Zielonego Balonika**, zamyśliłem się nad dawnym Krakowem, uczułem, że temu miastu należałaby się osobna monografia. Bo Kraków, taki jakim go splot warunków uczynił, to było najoryginalniejsze miasto pod słońcem, z pewnością unikat na kuli ziemskiej wszech czasów. Już pod względem geograficznym położenie jego było osobliwe. Wciśnięty w sam kąt Galicji, odcięty granicą od całego niemal **Krakowskiego**, które mieściło się w zaborze rosyjskim, odcięty drugą granicą od przemysłowego zagłębia na Śląsku, wydziedziczony ze swej stołeczności – bodaj galicyjskiej – przez Lwów, wgnieciony w plan twierdzy austriackiej z zatamowaniem ruchu budowlanego przedmieść, Kraków podcięte miał wszystkie możliwości materialnego rozwoju. Był co się zowie małym miastem. W epoce gdy chodziłem do szkoły, uczyłem się w **statystyce** Austrii, że Kraków ma 56 tysięcy mieszkańców. Z początkiem wieku XIX-go miał ich podobno osiem... Oto losy dawnej stolicy Jagiellonów. Mimo to, nigdy Kraków nie abdykował ze swej stołecznej roli; przeciwnie, wytworzone przez niewolę warunki

bytu oblekły go w insygnia nowej królewskości; dane mu było aż do lepszych czasów przechowywać pewne wartości duchowe, zdławione w innych dzielnicach.

Wszystko to razem robiło z Krakowa osobliwy stwór. Można by zaryzykować jedno porównanie. Jak wiadomo, Paryż rozkłada się na dwóch brzegach Sekwany, przy czym terminy *rive gauche*, *rive droite* budzą pewne pojęciowe i wzrokowe kompleksy. Otóż, Kraków, tak geograficznie, jak metaforycznie, był cały – lewym brzegiem. Były tam – niby **faubourg Saint-Germain** – stare arystokratyczne pałace. Snuły się po nim – jak w okolicach **Saint-Sulpice** – kwefy, sutanny i czarne kapelusze. Były poważne mury Akademii, birety i togi; roje młodzieży wysypywały się z uniwersyteckich gmachów. Była i dzielnica artystów, gdzie kwitły sztuki piękne i gdzie, w zaciszach pracowni, uzbrojone w węgiel młode dłonie kopiowały, częściej co prawda gipsowe niż żywe modelki. Były i wąskie uliczki, ciche, cichutkie; i malownicze zakątki i stare kościoły; – to był lewy brzeg, wcale imponujący; nie powstydziłaby się go żadna stolica. Ale na tym był koniec: gdy na prawym brzegu Sekwany huczy cały nowoczesny, bogaty, ludny, modny Paryż, na prawym brzegu Wisły były tylko – Dębniki.

Ale co tu wspominać Paryż. Ot, taki Lwów, to był szczęściarz! Austria zrobiła go, lichy wie za jakie zasługi, stolicą; był siedzibą Sejmu, Wydziału krajowego, Namiestnictwa, co za tym idzie skupiał tysiące interesów. Położony w ogromnej połaci kraju, która stanowiła jego dopływ naturalny, w żyznej ziemi

podolskiej, miał w dodatku w pobliżu na okrasę – naftę! Toteż Lwów (w porównaniu z Krakowem i na miarę zabiedzonej przez Austrię Galicji) kipiał życiem; banki i banczki wyrastały i pękały jak bańki mydlane, handel ze wschodem, interesy, interesiki, humor, rozmach, wesołość. Lwów odznaczał się przy tym szczęśliwym połączeniem krwi: polskiej, **rusińskiej** (jak wówczas się mówiło), ormiańskiej; – śliczne i chętne życiu kobiety, śpiewność, muzykalność, ogień w żyłach. (Trzy czwarte śpiewaków i śpiewaczek dawał Polsce Lwów). Toteż Lwów patrzył z politowaniem na cichy i ubożuchny Kraków, gdy Kraków, z wyżyn swych kulturalnych świetności, patrzył na Lwów niby podupadły wielki pan na dorobkiewicza. Ale faktem jest, że we Lwowie był inny klimat.

Klimat... Pisząc o Krakowie w *Synach Ziemi*, Przybyszewski maluje Wisłę, jak płynie leniwo, powoli, i ziejże zarazą malarii na miasto. Czy ta przenośnia miała jakiś realny podkład lekarski? To pewne, że w Krakowie był jakiś organiczny smutek, jakaś, można by rzec, **infekcja** smutku. Czy tu działały czynniki psychiczne, czy warunki materialne, czy w istocie jest coś w klimacie?

To przytłumione życie, bez niespodzianek, bez ryzyka i bez możliwości, wycisnęło na Krakowie swoje piętno. To nie było miasto miłosne, jak Lwów. Gdy we Lwowie nawet stracenie mordercy opiewano skoczną piosenką „Widzisz Lewicki, co miłość może – w zimnej mogile kochanki trup” (na nutę: „Ach, ta trójka”), Kraków był niemy, nie śpiewał; co najwyżej

pijany murarz, wracając z szynku, darł się fałszywie; „Idzie murarz, idzie, walca wygwizduje – a wesz po kołnirzu – a wesz po kołnirzu – marsia śpaciruje”... Piszę to, aby podkreślić dziwaczność narodzin piosenki w **Zielonym Baloniku**. Ten wybuch wesołości, który poszedł na całą Polskę właśnie z tego Krakowa, był niewątpliwie paradoksem; otóż, życie Krakowa składało się z samych takich paradoksów.

Było smutne. Ta sfera, która wówczas nadawała mu ton – arystokracja, w ubożuchnym Krakowie będąca zarazem jedyną **plutokracją** – żyła dość eksterytorialnie, w swoich pałacach, w klubie, za granicą wreszcie. Mieszczanństwo trzymało się w stylu *bieder-majer*, dość świętoszkowatym. Jeżeli była tak zwana „rozpusta”, to nie szumna, robiąca ruch, dająca życie setkom ludzi, ale wstydliva, pokątna, brzydka. I tutaj niszcząco działała na Kraków bliskość Wiednia. Flaszki wina nie wypił taki łyk<sup>3</sup>*loco*<sup>4</sup>, ale jechał na nią pod jakimś szanownym pozorem do „Widnia”. Oczywiście, ta abstynencja fatalnie działała na życie miejscowe. Nie da się opisać, na jak niskim poziomie stał krakowski „półświatek”. I dziewczęta wysypujące się z „cygarfabryki” niewiele doprawdy miały z Carmeny, żarła je bieda i blednica, brak zalotności był uderzający. Może znów ten brak zalotności dziewcząt był jedną z przyczyn biedy Krakowa; nie dawały owej podniety, która każe mężczyźnie zdobyć pieniądze czy wydzwignąć się ponad swój stan za wszelką cenę. Jeżeli tak

---

<sup>3</sup> łyk (daw., pogard.) – mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> loco (łac.) – na miejscu. [przypis edytorski]

było, źle spełniały swoje przeznaczenie kobiece, którym jest wywoływać ruch wstępujący klas oraz ożywiać obrót pieniądza. Toż samo, ładne a bezposadne dziewczęta ze sfer mieszczańskich z rezygnacją poddawały się staropanieństwu, którego panna z „dobrego domu” nie mogła wypełnić nawet pracą zarobkową. Ach, te tragiczne pary – matka z córką – obchodzące przez całe lata plantacje, coraz starsze, coraz kwaśniejsze!

W dzień jeszcze Kraków miał jakieś pozory życia, nie bardzo zharmonizowanego zresztą z jego murami; za to w nocy mury brały władztwo nad człowiekiem. Z uderzeniem dziesiątej krakowianin, oszczędny z musu, chronił się do domu przed godziną tradycyjnej **szpery**, oszczędzając na strózu niemniej tradycyjną **szóstkę**. Zdaży, nie zdaży... Zdażył: zdyszany dopadł bramy, zanim niechętnie spoglądający na ten wyścig stróż zdołał ją zamknąć, i za chwilę już wydzwaniały ową dziesiątą cztery wieżowe zegary, otrębywał ją hejnał mariacki na cztery strony małego świata. Na opustoszałej ulicy zostawał jedynie policjant i ta samotna „kokotka<sup>5</sup>”, której – jak opiewała jedna z piosenek **Szopki krakowskiej** – nie pozostawało nic, jak rozkochać się w romantycznym pięknie tego miasta umarłych. Ale niebawem wsiąkała w mury i ona, wyłaniał się stróż nocny z halabardą, można było mniemać, że się jest, het, w wiekach średnich.

---

<sup>5</sup> *kokotka* a. *kokota* – kobieta lekkich obyczajów; prostytutka; tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Kokota krakowska* (patrz *Słówka*), rys. K. Frycz. [przypis edytorski]

Bo zważmy, że stosunek Krakowa do swoich murów był zgoła odmienny niż w innym nowoczesnym mieście. Wszędzie odbywa się w ciągu lat walka między kamieniem a człowiekiem, życiem a przeszłością. Miasto wykypia<sup>6</sup> niejako z garnka swoich murów, rozlewa się szeroko, tworzy sobie nowe dzielnice, zostawia zabytki na boku. Kraków do bardzo późna cały niemal zamknięty był w przestrzeni dawnych murów, których pamiątką została Brama Floriańska wraz z Rondlem, wskazówką topograficzną plantacje, a które wypełniała siatka starożytnych ulic z węzłami kościołów. W Krakowie człowiek – w znaczeniu życia materialnego – był za słaby, życie za wątłe, mury raz po raz zwyciężały.

Nie bez walki: och, nie. Ta stolica dziwnego nabożeństwa miała w sobie szczególną żywotność. Nigdy, nawet w najcięższych opresjach, nie zgodziła się zostać po prostu małym miastem, tak jak dziś za nic nie godzi się zostać prowincją, wasalką Warszawy. Raz po raz stwarzała sobie formy, czasem dziwaczne, w których manifestowała swoją odrębność, udzielność. Ale walka z murami była trudna.

Nic w tym mieście nie było takie, jak gdzie indziej. Pory roku znaczyły się tam obrzędami. Groby, nabożeństwa majowe. Boże Ciało, lajkonik, wianki, pasterka, w ogóle wszelkie uroczystości odgrywały w życiu Krakowa nieproporcjonalnie dużą rolę. Rozwijał się zmysł dekoracyjny. Po rezurekcji we wszystkich salonach rozmawiało się o tym, jak **prześlicznie** wyglądał biskup

---

<sup>6</sup> wykypia – dziś popr.: kipi. [przypis edytorski]

Dunajewski z infułą na srebrnych włosach. Mówiło się o nim, jak gdzie indziej o aktorce. Osobliwym zbiegiem spotęgowała jeszcze tę naturalną skłonność sytuacja polityczna Krakowa, czyniąc zeń uprzywilejowane miasto narodowych obchodów, przedsiönkiem do Skałki i Wawelu.

Przebierano się też przy lada sposobności. Jeszcze w dzieciństwie pamiętam paru ludzi, którzy chodzili stale w kontuszu, przy szabli; inni w czamarach<sup>7</sup>. Mieszczanie kładli insygnia cechów lub króla kurkowego, profesorowie togi, sokoli<sup>8</sup> swoje dołmany<sup>9</sup> i pętelki, ludowcy sukmany; wciąż coś święcili, grzebali, witali... To doktorat *sub auspiciis Imperatoris*, to Trzeci maj, to pogrzeb Mickiewicza, to przyjazd arcyksięcia. Tarnowskiemu przez trzy lata przedłużano rektorat, bo były w programie jakieś obchody, a nikt tak twarzowo nie wyglądał w todzie. Kiedy szkołę Sztuk Pięknych przemieniano w Akademię, pierwsza rzecz, która się nasunęła, to były togi i gronostaje. Zapewne, wszędzie są jakieś obchody, ale rozpuszczają się w strumieniu żywego życia, tutaj miasto żyło nimi jak narkotykiem. W ogóle nigdzie tyle co w Krakowie nie żyło się wyobraźnią, a tak mało realnie. Życie było marzeniem, gapieniem się, jeżdżeniem przez imaginację na wszystkie

---

<sup>7</sup> *czamara* (daw.) – rodzaj płaszcza, noszony przez mieszczan i chłopów w XVI-XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>8</sup> *sokoli* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Sokół* (rys. W. Jarocki) z „Liberum Veto”. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *dołman* a. *dolman* – daw. kurtka wojskowa. [przypis edytorski]

koronacje.

I stosunek do przyrody był odrębny. Słońce czuło się tam nieswojo, budziło smutek. Oświeślało niedyskretnie nędzę życia, twarze kobiet zabiedzone i wyblakłe, niemodną, nicowaną i cerowaną odzież. Za to księżyc był jak u siebie w domu, cudownie harmonizował z pejzażem wąskich ulic i zaułków, miał jakieś powinowactwo z ludźmi. Kraków to było lunatyczne miasto. Nigdy poza Krakowem nie pamiętam, abym się interesował księżycem; w Krakowie pełnia nie dawała mi spokoju, wypędzała mnie z domu. Nigdy nie słyszałem o lunatykach, w Krakowie opowiadano o nich raz po raz.

Noc w Krakowie miała swoje widmo. Był nim malarz religijny, Franciszek Krudowski, tajemniczy człowiek, odludek niewidzialny w dzień. Za to w nocy, jakąkolwiek ulicą, o którejkolwiek godzinie się przechodziło, wyrastała nagle z mroku wysoka postać Krudowskiego. Doprawdy, można było podejrzewać, czy on nie ma daru rozszczepiania się (czemu by nie?) i czy nie pojawia się naraz w kilku miejscach.

To był ten dawny Kraków mego dzieciństwa. Kraków mojej młodości już był inny. Z murów tych jak czarami zaczęły puszczać nowe pędy. Z salonów i zakrystii życie wymknęło się na ulicę, zaczęło szumieć po kawiarniach. Młodzież, której przedtem w Krakowie się nie czuło, wyroiła się pelerynami. Na lewym brzegu Wisły wykwitło nowe dla Krakowa zjawisko – cyganeria. I gdybyż jedna! Niemal równocześnie oglądał Kraków cyganerię malarską,

cyganerię Pawlikowskiego, cyganerię Zapolskiej, cyganerię Przybyszewskiego, cyganerię bronowicką, ba, można by powiedzieć, cyganerię Lutosławskiego i Daszyńskiego, nie licząc cyganerii studenckiej, wzmożonej młodzieżą chroniącą się raz po raz zza kordonu<sup>10</sup> i falangą młodych dziewcząt, pierwszy raz dopuszczonych do studiów uniwersyteckich. To była jedna z najenergiczniejszych odmładzających „kuracji Steinacha”, jakie kiedy widziano.

Wszystko to się przewaliło. **Zielony Balonik** był „kropką nad i” tej przemiany starego Krakowa. Radosnym uświadomieniem. Podłożeniem wszystkich tych zdarzeń pod muzykę piosenki. Szturmem do księżyca. Życie brane w pigułkach. Co parę tygodni jedna noc. Kilka godzin cudownej złudy, że ta igraszka zbratanych z sobą Sztuk jest pianką płynącą po szerokiej rzece, że ten szampan, który się perli w kubkach, jest normalnym napojem przyzwoitego człowieka, że tam za ścianą śpi wielkie miasto, które zbudzi się rano pełnią życia... I w istocie, kiedy się człowiek rozejrzył po sali, można było mieć złudzenie. Go za interesujące pyski! Talentu, inteligencji tyle, że można by nimi obdzielić całą Polskę. Dajcie im tylko ów „punkt oparcia”, którego się daremnie dopraszał Archimedes.

Pamiętam jedną taką noc, po której rano cała gromadka michalikowa wysypała się na ulicę. Ranek był brudno-szary. Wieża Floriańska, zawiana trochę, chwiała się na nogach, jak

---

<sup>10</sup> zza kordonu – tu: z innych zaborów. [przypis edytorski]

to uwiecznić **Szczygieł** w swoim fresku.<sup>11</sup> Wieża mariacka też miała koronę na bakier. Baby w krasnych chustkach ciągnęły z dworca kolei z koszykami na targ. Olbrzymiego Witolda Noskowskiego, w matowym półcylinderku i w potężnej szubie z peleryną, całowały, przechodząc, w rękę, brały go co najmniej za kanonika. Poza tym było pusto. Kokotka – miejmy nadzieję – spała już dawno. Szliśmy ulicą Floriańską, Rynkiem, Grodzką, mijając kościół Panny Marii, kościół świętej Barbary, kościół świętego Wojciecha, kościół Dominikanów, kościół św. Piotra i Pawła, kościół św. Idziego, kościół św. Andrzeja, katedrę, aż nad samą Wisłę. Płynęła szara, mała, zbidzona, trochę śmieszna. Za nią, w oddali, majaczyło kilka domków. Prawy brzeg Wisły. Dębniki.

Ten prawy brzeg Wisły i to, **czego tam nie było**, to był dramat krakowskiego życia.

---

<sup>11</sup> *Wieża Floriańska, zawiana trochę, chwiała się na nogach, jak to uwiecznił Szczygieł w swoim fresku.* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Kabaret szalony* do wiersza E. Leszczyńskiego malował K. Sichulski (Z wnętrza cukierni Michalika). [przypis edytorski]

# Mury i ludzie

W poprzednim szkicu o starym Krakowie wspomniałem o walce murów z żywymi ludźmi. Ta walka to nie jest tak prosta rzecz: i mury, i ludzie to są rzeczy szanowne; po czyjej tu być stronie? Istnieje dziś, w postaci specjalnych urzędów, ochrona murów przed ludźmi, ale gdzie ochrona ludzi przed murami?... Od niedawna działają urzędy konserwatorów, i to jest dobrze. Ale mimo woli nasuwa się myśl, gdyby takie urzędy konserwatorów istniały od wieków, ile by pięknych rzeczy nie powstało. Duma Krakowa, jeden z jego uroków i oryginalności – plantacje, zrodziły się z nieprawdopodobnego wandalizmu: powstały na miejscu zburzonych murów miasta. Podziwia się Wieżę Floriańską: dawniej była taka na wylocie każdej prawie ulicy śródmieścia. Zburzono je. I samej Wieży Floriańskiejomal nie zburzono, a warto zanotować czemu zawdzięcza, wedle tradycji, swoje ocalenie. Mianowicie, w czasie debaty w radzie miejskiej, gdy zagłada jej była postanowiona (zburzono wszak ratusz na rynku!), jeden z radnych zaoponował, motywując swój protest tym, że pod kościołem Mariackim są i tak straszliwe wiatry; otóż, jeśli się zburzy Wieżę Floriańską, przeciąg będzie nie do wytrzymania. Widzę, że się uśmiechacie: co za głupstwo! Ale to nie było takie głupstwo i miało swoje racje. Czy wiecie, co to był wicher pod kościołem Mariackim, a są tam w istocie wichry straszliwe? To było zgorszenie wiernych dążących do

świętyni, to była tragedia statecznych niewiast, sprawa ich powagi i czci.

Ja to jeszcze rozumiem, ale na ogół jedno pokolenie nie rozumie drugiego. Nie trzeba patrzeć na dawność dzisiejszymi oczami. Dziś kobieta, w swoim grzybku na głowie, w swoim *burberry*<sup>12</sup>, urąga kaprysom aury, zawsze może być wdzięcznie i schludnie ubrana, ładnie obutymi nóżkami przebierając po gładkim asfalcie. Dziś moda jest demokratyczna, na miarę ludzi pieszych i tramwajów. Ale jeszcze za moich czasów mody były tworzone dla dam jeżdżących kareta, a przejmował je potulnie gmin chodzący na nogach. Wyobraźcie sobie ciężką suknię do ziemi, olbrzymi kapelusz z rozmaitymi kukuryku, strusiami, kolibrami, winogronami, całe wiszące ogrody na głowie, nogi w kaloszach, z których się przez kilka miesięcy nie wyłaziło dla<sup>13</sup> straszliwego błota, wyobraźcie sobie to wszystko w słotę i wiatr, taki jaki bywał pod kościołem Mariackim, gdzie konfiguracja ulic stwarzała piekielną iście różę wiatrów! Wyobraźcie sobie kobietę unoszącą suknię, w którą wicher dmie niby w żagiel, zdzierając równocześnie głowy kapelusz, odsłaniając barchanowe majtki, nicując parasol i czyniąc ich właścicielkę radością tłumów śpieszących do domu bożego. A cóż dopiero dama w „rotundzie”, jaką z początkiem naszego stulecia jeszcze nosiły damy, w ciężkiej rotundzie bez rękawów!

---

<sup>12</sup> *burberry* – luksusowa brytyjska marka odzieżowa; tu prawdopodobnie mowa o słynnym płaszczu typu trench tej firmy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *dla* – tu: z powodu. [przypis edytorski]

Tak więc, roztropny głos owego rajcy ocalił Bramę Floriańską. I drugi raz była zagrożona. Było to mianowicie wtedy, kiedy przerabiano tramwaj konny na elektryczny. Pamiętam ów doniosły ewenement, i dyskusję, jaka się na ten temat toczyła w domu Przybyszewskich. Stach oburzał się, jego cudny średniowieczny Kraków odrutowany! Zdawałoby się, że już tramwaj konny stał się nietykalną tradycją, tak dalece wszystko w Krakowie przybierało charakter zabytku. A Wypiański ze swoim drwiącym uśmieszkiem radził następujące rozwiązanie: wprowadzić elektryczność dla postępu, ale zachować biegnącego przed tramwajem „honorowego” konika, dla tradycji.

Otóż, Brama Floriańska była zagrożona o tyle, że sam tramwaj ledwo się w nią mieścił, na wierzchnie druty nie było już miejsca. Inżynierowie podali projekt, aby łuk bramy podciąć. Łatwo pojąć, jaki krzyk podnieśli konserwatorowie: niszczyć te wymiary, te cudowne proporcje, naruszać odwieczne mury! W końcu znaleziono inne wyjście; pogłębiono bramę od dołu, obniżając na przestrzeni kilkudziesięciu metrów poziom ulicy. I na to mruźli starzy, ale już ich nie słuchano. Dziś nikt tego nie pamięta, i dalej podziwia niezrównane proporcje...

Niech mnie tylko nikt nie posądzi o brak sentymentu dla murów Krakowa. Wręcz przeciwnie, jestem w nich zakochany. Cały **Zielony Balonik** zresztą był niemal ekspozyturą duchową urzędu konserwatorskiego; staczał niejednokrotnie boje o całość skarbów dawnego Krakowa. Jakżeby mogło być inaczej! Ale

prawo do uśmiechu jest starsze niż wszystkie mury na świecie.

Ta „wojna murów” miała swoje dramatyczne epizody. Aby wystawić teatr, zburzono szpital św. Ducha; była tam stara kaplica, którą sobie upodobał Matejko. Chciał ocalić tę kaplicę, ofiarował się wyrestaurować ją własnym kosztem i obrócić na muzeum. Nic nie pomogło: zburzyli. Matejko był honorowym obywatelem Krakowa; rozgniewany, odesłał dyplom. Miasto wysłało doń deputację z prośbą, aby cofnął ten krok. Przyjął ją bardzo szorstko. „Panie artysto, rzekł jeden z dygnitarzy miejskich urażony, przecież i my każdy kamień w Krakowie znamy i kochamy. – Tak, każdy kamień, który prowadzi od Hawełki do Wencla” (dwa znane handelki), odparł Matejko i pozostał nieubłagany.

„Burzymurki” – tak nazywali miejskich wandalów obrońcy starego Krakowa. Cóż za namiętne walki toczyły się o domki przy kościele św. Idziego, bez wartości same w sobie, ale mające zaszczyt służyć za obramienie dla Wawelu. Może niegdyś, kiedy wyrosły z ziemi, oburzano się na nie jako na oszpecenie, ale oko tak już przywykło do nich: tradycja.

Czasem tradycja ta spadała komuś na łeb jak dachówka. Oto epizod, dziś już zupełnie zapomniany: awantura z tzw. „basztą Kościuszki”. Był przy ulicy Podwale zapuszczony ogród, w którym stała jakaś rudera. Kupił to wszystko, jako plac budowlany, pewien radny miejski i kupiec win, w intencji postawienia wielkiego nowoczesnego hotelu. Kiedy już gotował plany, naraz spada na niego protest urzędu konserwatorów: w

baszcie tej, a właściwie domku, spędził, jak się okazało, jedną noc Tadeusz Kościuszko, w dobie powstania. Nie wolno burzyć: zabytek, pamiątka. Kupiec zawrzał gniewem. Jak to, kupił plac budowlany, zapłacił porządną cenę, a teraz ma go sobie chować na pamiątkę? Trzebaż człowieka ostrzec! toż stała ta rudera tyle lat, nikt o nią nie dbał, a dopiero teraz, kiedy on chce wystawić miastu porządny hotel, wyjeżdżają mu z Kościuszką?

Ale po co mówić prozą, kiedy opiewałem to wierszem w **Zielonym Baloniku**: „Dzieją się cuda; ot, stała buda, pies nie zatroszczył się o to; aż w jednej chwili, coś w niej odkryli; to świętość, relikwia, złoto! Tu, pod tą gruszką, drzemał Kościuszko: dopieroż robi się skweres; a pod tą drugą, Kołłątaj Hugo załatwiał mały interes! Chcę kłaść fundament, ci dalej w lament: – Na Boga, nie tykaj gruszki! – I płac ty, człeku, po całym wieku, koszta rebelii Kościuszki...”

Tak lamentował kupiec win i radny miejski. Ale ten radny był potęgą polityczną; specjalistą od fałszowania wyborów, twórcą jakiegoś systemu urn wyborczych, stanowiącego epokę w życiu politycznym Galicji. Świadom swej wartości, nie dał sobie w kaszę dmuchać pp. konserwatorom, zwłaszcza że w owym czasie kurs konserwatywny spadł nisko. Podczas gdy pisma wrzały polemiką o **Basztę Kościuszki**, on wezwał cichcem murarzy i w ciągu jednej nocy uporał się z niedużą budowlą; rankiem na drugi dzień nie było ani śladu. Rozumiał, jako polityk, wymowę faktów dokonanych. W istocie, dyskusje skończyły się jak nożem uciał; od tego czasu słych o **Baszcie Kościuszki** zaginał. Tyle tylko, że

radca, zniechęcony, nie postawił już hotelu, ale prywatny dom dla siebie.

Jeszcze jeden przykład ucisku murów na człowieka. Notowałem raz, przy innej sposobności, jeden z faktów psychologicznych. Mianowicie, w owej epoce, choćby mężczyzna i kobieta najbardziej mieli ochotę się spotkać i spędzić czas z sobą, zawsze, nim doszło między nimi do ostatecznego porozumienia, potrzebowali jakiegoś godziwego pretekstu. Coś trzeba było pokazać. Stąd każdy światowy posiadacz garsoniery coś kolekcjonował, porcelanę czy coś podobnego, a każda dama interesowała się kolekcjami. Ale gdzie tam w Krakowie garsoniera i porcelana! Toteż, wstępne schadzki były bardzo utrudnione. Było jedno uprzywilejowane miejsce: kościół św. Katarzyny, położony w odludnej dzielnicy, zawsze prawie zamknięty i pusty, gdzie jakiś stary obraz, dość nieprzyzwoity, przedstawiał męki piekielne grzeszników. Pokazywanie tego średniowiecznego zabytku, to była „porcelana” cygańskiego Krakowa; tam można było zaprowadzić damę, nie brutalizując zbytnio sytuacji, a trzeba wiedzieć, że damy z epoki rembrandtowskich kapeluszy to były wściekłe mimozy. Odźwierny wpuszczał do zamkniętego kościoła za drobną opłatą, pokazywał obraz, po czym zostawiał parę w mrocznych stallach. To dawało najzwyklejszej randce posmak perwersyjny, do czego młodzi dekadenci dociągali resztę, deklamując *Litanie do szatana* Baudelaire'a i narażając silnie zbawienie duszy. Dziś taka para poszłaby po prostu do

kina.

Zgorszy może kogo to zestawienie? Cóż począć, jest bardzo istotne; to właśnie był Kraków. Kościół bywał tam, jak w średniowieczu, płaszczem okrywającym życie Erosa. Niedzielna msza u oo. Kapucynów, półmrok nabożeństw majowych, ileż wchłonęły fluidu marzeń miłosnych! Dobrzy ojcowie jezuiti w kościele św. Barbary aż uważali za stosowne rozdzielić na wieczornych nabożeństwach płcie, ustawiając mężczyzn po jednej stronie, niewiasty po drugiej.

...Wciąż widzę paniusią mocującą się z wichrem pod kościołem Mariackim. Śmieszne. Ale co na tym tle nie było śmieszne?<sup>14</sup> Kiedy Kraków postanowił uczcić pomnikiem Adama Mickiewicza, głowiono się nad miejscem; oczywiście Rynek, cóż może być godniejsze wieszczą! Kilka lat trwały konkursy, potem zmieniano, poprawiano, parę lat trwało ustawianie, przeczuwano widać niebezpieczeństwo. I wreszcie, kiedy go odśloniono, och, jakież okazał się mizerny i śmieszny ten pomniczek pomiędzy wieżami mariackimi a zwałem Sukiennic, na tle architektury rynku. W ogóle nic nie było na swoim miejscu na tym rynku: jedna procesja Bożego Ciała „trzymała fason”. I inne miasta mają takie uroczyska, ale przez instynkt życia zostawiają je na boku; w Krakowie każdy mieszkaniec był dziennie z pięć razy na rynku, do banku czy do kawiarni,

---

<sup>14</sup> *Śmieszne. Ale co na tym tle nie było śmieszne?* – tu w tekście umieszczono dwie ilustracje z podpisem: Z cyklu *Wawele*, K. Frycza. *Projekt Rady Miejskiej* (z wnętrza cukierni Michalika); z cyklu *Wawele*, K. Frycza. *Projekt socjalistyczny* (z wnętrza cukierni Michalika). [przypis edytorski]

gdziekolwiek szedł, musiał przechodzić tamtędy. Przesuwał się, smutny anachronizm, pod okiem tych wież, poruszał się sennie w sferze potężnego a wrogiego mu magnetyzmu. Gdziekolwiek był, co godzina cztery zegary wieżowe zmieszane z trąbką hejnału dosięgły go swym *memento mori*. Zatruiwał się małymi dawkami co dzień, nie wiedząc o tym, jak robotnik w kopalniach rtęci.

Przeglądałem świeżo *Synów Ziemi Przybyszewskiego* i ich karty poświęcone Krakowowi. I zrozumiałem po latach, że pomysł osiedlenia się w Krakowie był dla niego samobójstwem. Właśnie dla Przybyszewskiego, tak przewrażliwego na mowę kamieni. Kraków zwałił się na niego, niby w owym dramacie trumna świętego Stanisława na Śmiałego rycerza. Odtąd charłał z pękniętym krzyżem pacierzowym.

Wyspiański... Tak. Ten był niby roślina wyrosła z tych murów w mroku podziemi. Blady, bez kropli krwi, ten *genius loci* murów Krakowa umiał żyć z nimi. Ale bez mała on jeden.

A inni? Co począć, jak żyć w tym mieście, w którym mury spiknęły się na zgubę człowieka, czyhały tylko, aby go zasmucić, osmieszyć i – zabić? Zginać, lub bronić się. I, z perspektywy ćwierćwiecza, **Balonik** wydaje mi się takim aktem samoobrony. Dość znamienne jest, że rozpoczął się od przyjacielskiego skarykaturowania Wawelu. Spojrzeć na ściany w tej „Jamie”: tu karykatura Wisły, tam pijana Brama Floriańska, ówdzie plotkujące wieże mariackie. Karykaturowało się mury pilniej niż ludzi. Samoobrona, odwet. Przed śmiesznością bronić się śmiechem. „Gwałt niech się gwałtem odciska”. Zawrzeć jakiś

honorowy pokój, ułożyć jakiś *modus vivendi*!

Ale walka była nierówna. I, gdyby nie zaszły wypadki, które zmieniły życie Polski, byłyby nas tam wszystkich zjadły te mury.

# Pański Kraków

Monografia, której napisania wart byłby dawny Kraków, nie byłaby pełna, gdyby nie starała się wniknąć w warunki, które sprawiały, że miasto to, późno w wiek XIX, stanowiło jedyne w swoim rodzaju w Europie osiedle arystokratyczne. Wiele przyczyn złożyło się na to: i feudalne tendencje Austrii, i ziemiański charakter kraju, i brak naturalnej przeciwwagi w małym miasteczku pozbawionym handlu i przemysłu, i wreszcie, w nie najmniejszej mierze, wpływ paru indywidualności. Wszystko to dało w Krakowie, na kilka dziesiątków lat, jednej kaście władzę tak pełną, jaka może nigdy i nigdzie nie była jej udziałem.

Że w jej ręku była władza polityczna, to wynikało z ustroju, z ordynacji wyborczej, z sojuszu z rządem, z klerem, z przewagi ekonomicznej, z ciemnoty i nędzy mas. Spokrewniona i spowinowacona między sobą na wszystkie sposoby, zespolona mnóstwem rozmaitych węzłów, klasa ta tworzyła przy tym rodzaj naturalnej masonerii. Miała rękę wszędzie, umiała wyzyskać wszystkie interesy, wszystkie słabostki, bodaj za pomocą bardzo zamkniętego klubu, gdzie jednak, jako partnerzy przy wincie, dobrze widziani byli i głównodowodzący generał, i prezes sądu, i naczelnicy wszelkich instytucji. Wszystko ta klasa mogła zrobić dla „swoich ludzi”, wszędzie mogła osiągnąć niemiłych sobie. Mogła, parafrazując Ludwika XIV, powiedzieć:

„Kraj – to ja”.

Jaki był bilans socjalny tej hegemonii? Nie chcę się w to zapuszczać. Boję się zaciemnić koloryt tej gawędy. Zwłaszcza niebezpiecznie jest spojrzeć na to oczyma z zewnątrz. Ot, czytać takie *Wspomnienia krakowskiego studenta* Wacława Nałkowskiego. Brrr! Więc taki był ten Kraków mego dzieciństwa? Albo urywek z listu Stefana Żeromskiego do narzeczonej:

„Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę nagą głupotę, tę beczelną podłość, to nadużycie słowa, tę pompę idiotów – śmiałybyś się do rozpuku, jak ja. Galicja – Kraków, to niewyczerpane źródło humoru, to po prostu sam humor, potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota – i ci... w swoich kontuszach i... kitach”.

To są wrażenia Żeromskiego z... pogrzebu Pawła Popiela.

Ale nie będziemy tu wznawiali przebrzmiałych, na szczęście, procesów. Przypomina mi się taka historia. W czasie wojny, na gruncie N. K. N. spotkali się w Wiedniu Władysław Michałowski, osławiony niegdyś starosta galicyjski, osobiście jeden z najdowcipniejszych i najmiłszych ludzi, jeden z owych uroczych **artystów bez teki** i – Ignacy Daszyński. Byli to, z czasów urzędowania Michałowskiego, zacięci wrogowie polityczni, ale nie zetknęli się osobiście. Otóż ci dwaj ludzie przypadli sobie do serca. Kiedy raz (scena godna Flersa<sup>15</sup>!)

---

<sup>15</sup> *Robert de Flers* (1872–1927) – fr. komediopisarz, librecista i dziennikarz. [przypis edytorski]

wspominali przy kieliszku wina dawne boje, ex-satrapa rządowy, grożąc żartobliwie paluszkami trybunowi ludu, powiadała: „Ale pan, panie pośle, używał sobie na mnie; nazywał mnie pan idiotą, łotrem, złodziejem grosza publicznego, mordercą...” – „Nic to panu hrabiemu nie zaszkodziło”, śmiał się dobroduszenie Daszyński, ściskając go w pól. I tak już jest: idee są nieprzejednane, ale ludzie zawsze się mogą porozumieć, bodaj późno, jak Gerwazy z Protazym... Niechże mi wolno będzie spojrzeć na ten dawny Kraków tylko okiem artysty.

Arystokracja krakowska – trzeba to jej przyznać – miała niepospolity zmysł życia. Poza swymi przewagami rzeczowymi, uczyniła to, czego – jak mu zarzuca Balzac w jednej ze swych powieści – nie umiało uczynić paryskie **faubourg Saint-Germain** za Restauracji; wzięła w pacht wszystkie centra kulturalne. Było to dziełem zwłaszcza dwóch ludzi: Stanisława Tarnowskiego i Stanisława Koźmiana.

Czynność, jaką rozwijał Tarnowski, była czymś zadziwiającym. Był profesorem literatury polskiej, wielokrotnym rektorem, prezesem Akademii, pisał mnóstwo książek, wydawał własnym kosztem miesięcznik, który w znacznej części zapełniał, był radcą miejskim i posłem na sejm, sypał artykuły polityczne, przemawiał, celebrował wszędzie, gdzie było potrzeba jego udziału... Kiedy, na jego własnym jubileuszu, sławiono na wszystkie tony te zasługi, kadząc mu ponad wszelką miarę, sam czuł potrzebę usprawiedliwienia się, że mógł **aż tyle** zrobić: zasłaniał się darami, którymi go

wyposażyła Opatrzność, dając mu, między innymi: „...pamięć wyśmienitą – zdrowie rzadko dobre – majątek znaczny, nie nadto wielki, aby się stał ciężarem”... Tak swą fortunę określił Tarnowski, żonaty z Branicką, jeden z bogatszych ludzi w Polsce.

Dała mu Opatrzność jeszcze inne różne rzeczy, predestynujące go do roli krakowskiej Cecile Sorel<sup>16</sup>: pyszną głowę na zbyt małym ciele, które podwyższał aktorskim gestem; głos giętki i świetnie modulowany, mimo że wciąż na krawędzi manieri proszącej się o parodię i wielokrotnie też parodiowanej. Całość można by określić: mizdrzący się hetman.

Tarnowski<sup>17</sup> był ekscelencją, tajnym radcą; z okazji jego jubileuszu ówczesny namiestnik Galicji Andrzej Potocki zabiegał się dla niego o Złote Runo, najwyższe odznaczenie, które posiadacza czyniło „kuzynem cesarza”. Ale, mimo wszystko, hetman-profesor nie otrzymał tego odznaczenia: Franciszek Józef, który był przysłowiowym analfabetą, nie mógł się pogodzić z tym, aby ten rodzinny jego order miał zawisnąć na piersi bądź co bądź profesorskiej... Chcąc osłodzić odmowę, przesłał jedynie, w dniu jubileuszu, **pismo odręczne**, zredagowane w nader pochlebnych słowach.

---

<sup>16</sup> *Cécile Sorel* (1873–1966) – właśc. Cécile Émilie Seurre, aktorka fr., wieloletnia narzeczona amerykańskiego milionera Witneya Warrena, następnie żona aktora Guillaume'a de Sax (księcia de Ségur). Jej małżeństwo było wyjątkowo nieudane i dostarczało ciągłych tematów dla plotkarzy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup> *Tarnowski* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Dwaj rektorowie. St. Tarnowski i L. Wyczółkowski* (rys. K. Frycz). [przypis edytorski]

Tarnowski odczuł rekuzę<sup>18</sup> i okazał to na swój pański sposób. Dziękując wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia jego jubileuszu, wspomniał z dworną wdzięcznością o tym piśmie, dodając: „Nie będzie to pierwsze pismo cesarskie w archiwach mojej rodziny; znajdzie się tam obok pisma Karola Piątego”...

Nie wiem, czy Franciszek Józef uczył tę szpileczkę...

Innego typu, ale nie mniejszej żywotności był Stanisław Koźmian, ten znów w stylu francusko-osiemnastowiecznym: gorszący amant, a potem morgantyczny małżonek znakomitej aktorki. Jak ten potrafił być równocześnie niepospolitym dyrektorem teatru, redaktorem „Czasu”, posłem, duszą polityki galicyjsko-wiedeńskiej, pisarzem, publicystą i karciarzem w dodatku?

Kiedy go poznałem, miał lat przeszło osiemdziesiąt, był siwy jak gołąbek. Mieszało mu się już w głowie po trosze, czasy i ludzie, żywi i umarli, ale lubił mnie zagadywać półgłosem o teatr, w którym od wielu lat noga jego nie powstała, podobno wskutek zakazu spowiednika, gdy, po śmierci Hoffmanowej, odprawił pokutę i wyrzekł się dawnych błędów. Spowiednik nakazał mu prócz tego przełożyć z hiszpańskiego wielotomowy żywot jakiegoś świętego. Koźmian wtedy mieszkał w Wiedniu u swego naturalnego syna, żonatego z córką wiedeńskiego *Volkssängera*; ta wspólne gospodarstwo dwu teściów i pokuta Koźmiana na tym tle, to miało być coś niesłychanie zabawnego.

W ogóle o żywotności tej kasty i jej tradycjonalizmie

---

<sup>18</sup> *rekuza* – odmowa. [przypis edytorski]

świadczy, że miewali oni **bastardów**, w których liczbie fama wymieniała szereg niepospolitych nazwisk, jak Modrzejewska, Klaczko „i tym podobni”.

Rozmawiałem raz o teatrze ze starym krakowskim *clubmanem* Szymberskim, niepokodzonym z nowoczesnością chwałcą dawnych czasów. Była mowa o Trzcńskim. Et, co to za dyrektor! zachnął się Szymberski. Żadnego posłuchu, porządku. Koźmian, to był dyrektor. Pamiętam, raz nieboszczyk Artur Potocki mówi do mnie: „Szymbersiu, idziemy za kulisy”. Poszliśmy. A Sobiesław, młody smyk wówczas, który bardzo nie lubił, kiedyśmy tam zachodzili, krzyczy na cały głos: „Łóżek dawajcie! Panowie idą!” Ja na skargę do Koźmiana. Koźmian każe wołać Sobiesława. I dopieroż go zrugął: „Ty durniu jeden (powiada), powinienes sobie za zaszczyt uważać, że przyjaciele moi tu przychodzą. Przepróż zaraz. A teraz ruszaj, precz”. To był, panie, dyrektor, zakończył z entuzjazmem Szymberski.

Ci dwaj ludzie tedy – Tarnowski i Koźmian – dzierżyli w rękę politykę i oświatę. „Kultura i sztuka” pozostała w tej samej sferze. Macherem od sztuki był ośmieszony **hrabia Zyzio** (Cieszkowski); wieloletnim prezesem Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych – szczerzy miłośnik malarstwa hr. Edward Raczyński, jedna z najbardziej zajmujących figur dawnego Krakowa. Cały ten arystokratyczny świat przesuwiał się przez pracownię Matejki, użyczając mu swoich najrasowszych głów za modele do obrazów. Oazę muzyczną – jedyną prawie, zanim ojciec mój przeniósł się do Krakowa – stanowił salon

księżnej Marceliny Czartoryskiej, uczniocy Chopina. Gawęda intelektualna kwitła na niedzielach Ludwika Michałowskiego. Najwybitniejsi, najkulturalniejsi ludzie, Morawski, Pawlicki, Potkański, Sokołowski, Konstanty Górski etc., byli towarzysko i duchowo wrośnięci w tę sferę. Nawet bez ciśnienia snobizmu wszystko składało się na to, aby całe życie ówczesnego Krakowa w niej się obracało.

Nie mówiąc o innych, konkretniejszych pobudkach. Kto miał rękę na uniwersytecie, na Radzie szkolnej, na Akademii (stypendia, podróże, nagrody, wszystko dla grzecznych dzieci, nic dla krnąbrnych), ten miał w garści wszystko. Nawet malarstwo, poza Tow. przyjaciół (zakupy), było pod patronatem Akademii i jej premii. Ach, te doroczne niewysłowione sprawozdania **nagrody Barczewskiego**, pióra Jerzego hr. Mycielskiego, jednej z najkomiczniejszych – jakże ciepłym rodzajem komizmu – figur ówczesnego Krakowa! Ale tu już odkładam pióro; Jerzy Mycielski żądałby osobnej monografii, to była jedna z postaci, które są jakby skomponowane przez wielkiego humorystę.

Jedną tylko historyjkę o Mycielskim<sup>19</sup>. Dobry ten człowiek miał wszystkie snobizmy, łasy był na tytuły, godności, odznaczenia. Starał się o szambelanie; cesarz długo mu jej odmawiał z tych samych przyczyn, co Tarnowskiemu Złotego

---

<sup>19</sup> *Jedną tylko historyjkę o Mycielskim* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Mycielski i Morstin* (Karykatura K. Frycza w porze wystawienia *Legionu*, z aluzją do miesięcznika „Musaion”). [przypis edytorski]

Runa: Mycielski był profesorem uniwersytetu! Wreszcie dostał upragnioną szambelanię, a tuż przed wojną został – o upojenie – członkiem Izby Panów. Był „osobistym” przyjacielem następcy tronu arcyksięcia Ferdynanda oraz arcyksięcia Karola Stefana. Po wybuchu wojny, okrężną drogą „głównej kwatery” doszedł do... idei legionów i oddał się jej całą duszą. Przez całą wojnę żył trochę arcyksiężętami, ale głównie, z niezmiernym oddaniem, legionami. Po rozpadnięciu się Austrii, przeniósł swój kult na Piłsudskiego. Ale, jednego dnia, rozebrało go. – Ej, Władziu – jęknął do Wł. Michałowskiego, który później cudownie odgrywał tę scenę – wolno przecież pomarzyć trochę. Wyobraź sobie, że, tak jak tu siedzimy, nagle telefon: *Hallo! hier Konopisch* (rezydencja arcyksięcia Ferdynanda)... Sama arcyksiężna mówi. (Tu Mycielski zgiął się w pokłonie). *Kommen sie doch nach Konopisch, Herr Graf? – Ja wohl, kaiserliche Hochheit, wenn ich dieser Gnade würdig bin...*<sup>20</sup> (Nowy rozanielony ukłon do fikcyjnego telefonu). A dziś co? (wałąc z komiczną wściekłością pięścią w stół): Belweder. Belweder. Belweder.

Mycielskim bawili się po trosze wszyscy; w **Zielonym Baloniku** był ciągłym przedmiotem conceptów. On sam objawiał w tych rzeczach i kulturalne poczucie żartu, i dziecinną próżność. Kiedy, zaproszeni do Lwowa, wybraliśmy

---

<sup>20</sup> *Kommen sie doch nach Konopisch, Herr Graf? Ja wohl, kaiserliche Hochheit, wenn ich dieser Gnade würdig bin...* (niem.) – Czy przyjedzie pan do Konopisch, panie hrabio? Oczywiście, wasza wysokość, skoro zostałem zaszczycony zaproszeniem. [przypis edytorski]

się tam z *Szopką krakowską*, pominieliśmy te sceny i te laleczki, które zdawały się nam dla Lwowa mniej zrozumiałe. Nie wzięliśmy lalki Mycielskiego, której tekst był zresztą mocno ośmieszający.<sup>21</sup> Przypadkowo Mycielski był na lwowskiej premierze *Szopki*; przyszedł do nas za kulisy z wymówkami. „Ależ mnie tu znają, doskonale mnie znają, to by ich bardzo bawiło, czemuście mnie nie wzięli?” Widząc jego szczerą przykrość, nadałem w nocy pilną depezę do **Zenona** (Pruszyńskiego): „Wysłać Mycielskiego *blitzem*<sup>22</sup>, odbiorę od konduktora”. Nazajutrz wieczór jeden z naszych pojechał na kolej i w istocie ujrzał konduktora trzymającego w rękę wspaniałą lalę, arcydzieło Pugeta. Mycielski był uszczęśliwiony: wydobył później ten dokument od Zenona, ucałował telegram z rozczulenia i schował go na pamiątkę. Powtarzał niemal ze łzami w oczach: „Wysłać Mycielskiego *blitzem*, wysłać Mycielskiego *blitzem*...” Duże dziecko!

Ów zmysł życiowy, instynkt władzy sprawiał, że żeńska połowa arystokratycznego klanu usidlała znów miasto w inną sieć: filantropię. To był teren, na którym hrabina stykała się z „panią z miasta”, hipnotyzowała ją. Stara hrabina, mniej lub więcej dobroczynna, była w Krakowie potęgą. W czarnej mantylce, w przydeptanych trzewikach (i tak wszyscy wiedzą,

---

<sup>21</sup> Nie wzięliśmy lalki Mycielskiego, której tekst był zresztą mocno ośmieszający. – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: Lalki z *Szopki* **Zielonego Balonika**. U dołu Mycielski (rys. K. Frycz). [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *blitz* (niem.: błyskawica) – tu: ekspres, przesyłka ekspresowa a. pociąg ekspresowy. [przypis edytorski]

kto ona jest), albo trzęsąca się w starej herbowej landarze, w ścisłym kontakcie z którymś z oo. jezuitów, była ona uosobieniem **protekcji**, owej protekcji, która z konieczności taką rolę grała w ustroju ówczesnego Krakowa. Toteż krakowska hrabina знаła swoją siłę, i kiedy przyszła nowa epoka, niełatwo abdykowała ze swej królewskości. – „Halo! tu hrabina X. – taki raz ostry dzwonek zabrzmiał do redakcji »Czasu« – chciałam się zapytać, czy „Czas” jest jeszcze katolickim pismem? – Nie wiem, pani hrabino, naczelny redaktor wyszedł i nie zostawił mi żadnych informacji w tej mierze”, odpowiedział z całą powagą zapytany.

To był „bunt młodzieży”, w osobie wice-redaktora „Czasu”, nieboszczyka Stasia Kopernickiego. Interpelantką była potężna hrabina X, zwana przez młodzież swojej sfery „*das verrückte Kanguru*<sup>23</sup>”, a chodziło jej, zdaje się, o to, że „Czas”, znudzony odwiecznym wyliczaniem rozkładu jazdy wszystkich hrabin i pod-hrabin kwestujących przed Wielkanocą w kilkudziesięciu kościołach, uczynił zamach na tę martwą już a niegdyś nader żywotną rubrykę.

Ale o „Czasie” trzeba by opowiedzieć osobno, to temat zbyt bogaty. Interesujący jest ten rys, też znamieny dla ówczesnego Krakowa. Kiedy naprzeciw tego przez wiele lat jedyne w Krakowie dziennika powstała opozycyjno-demokratyczna „Reforma”, istniała ona długo jedynie dzięki hojności Mieczysława Pawlikowskiego, a dom Pawlikowskich,

---

<sup>23</sup> *das verrückte Kanguru* (niem.) – ekstrawagancki kangur. [przypis edytorski]

spokrewniony z całą prawie arystokracją przez swą wielokrotną „dzieduszyckość”, miał znów cechy bardzo zamkniętego arystokratycznego pałacu. Tak więc, wszystko w ówczesnym Krakowie nosiło piętno arystokratyczne, aż do... demokracji włącznie.

Oczywiście, tak zwane krakowskie „towarzystwo” nie mogło uniknąć w wielu rzeczach znamion zaściankowości. Nie było ono zresztą jednolite, obejmowało całą gamę odcieni, od autentycznych polsko-europejskich **Guermantów**, otartych o Orleanów czy Burbonów, aż do Iksińskich z Psiej Wólki. Ci oczywiście byli „najbłękitniejsi”. Jeszcze za mojej pamięci wstawiła się jakaś panna Horodyska (jeżeli się nie mylę) tym, że na widok portretu Napoleona (pierwszego) odwróciła się z niechęcią i wycedziła przez skrzywione usteczka: „Uzurpator!”

Czuli sami doskonale swoje stanowisko w tym Krakowie, do którego, zdawałoby się, nie doszły echa Rewolucji Francuskiej. – Co zaszło ważnego w Austrii w roku 18\*\*? – pytał na egzaminie prawniczym srogi profesor Ulanowski któregoś z młodych Zamoyskich. – Babka moja umarła, odpowiedział z flegmą. A stara pani Branicka, kiedy lektorka nie orientowała się w zagmatwanych koligacjach, wzdychała: „Szczególne, jak dziś młodzież nie zna historii polskiej”.

Ten mariaż małego zabawnego miasteczka z przerastającą jego stan żywotnością kulturalną był najbardziej swoistą cechą Krakowa. To fakt, że nic się tam nie działo tak, jak gdzie indziej. Sądzę, że w nowoczesnej Europie było to jedyne miejsce,

gdzie życie nie regulowało się prawami handlowej kalkulacji. Raczej pańskim gestem. Matejko malował swoje olbrzymie płótna, nie troszcząc się, kto mu bodaj za farby zapłaci. Kiedy jakiś łyk chciał zamówić u Wyspiańskiego swój portret, artysta mierzył go zimnym i baczным wzrokiem, aby wreszcie odpowiedzieć: „Nie widzę powodu”. Kiedy Koźmian wystawił *Świecznik* Musseta, na którym się ówczesna publiczność nie poznała, kazał go grać kilka razy, ot, dla siebie, siedział w łoży w pustej sali i co chwila bił brawo. Ta sama „pańskość” powtórzy się w teatrze Pawlikowskiego. W „Czasie” pisywali wszyscy darmo, albo półdarmo. Wychowanie to udzieliło się i nam, chudeuszom. Kiedy miałem ochotę oglądać na scenie molierowską Celimenę, przetłumaczyłem *Mizantropa*, za co dostałem, zdaje mi się, sto koron; i Solski, dla trzech pustawych przedstawień, wystawił tę arcytrudną sztukę w pięciu aktach wierszem. W ogóle widoki sfinansowania czegokolwiek były tak nędzne, że nie warto było paskudzić się myślą o tym. Tym tłumaczy się, że **Zielony Balonik** mógł przez kilka lat bawić Kraków *gratis*, nie okazując tendencji do skomercjalizowania. Kiedy Szyfman chciał uprzemysłowić tę żyłą humoru, nie mógł nikogo wyciągnąć z „Jamy” do swoich **Figlików**. Trzczeńskiemu nigdy duma hidalga z ryżą bródką nie pozwoliła ciągnąć godziwych zysków ze swego fenomenalnego talentu.

Gdyby przyszło robić bilans arystokratycznego Krakowa, byłbym doprawdy w kłopotach. To pewne, że przerost tej supremacji był dość potworny, ale czy ówczesne małe

zabiedzone miasto było zdolne do pełniejszego życia? To już wchodzi w sferę historiozofii pod godłem „gdyby ciocia miała wąsy”...

Przyszedł czas zresztą, że ten dawny Kraków zaczął się rozkładać. Starsi hrabiowie zramoleli lub wymarli, młodszy hrabiowie nie czuli się na tyle pomazańcami, aby objąć ich rolę. I miasto dojrzało do tego, aby się bez nich obchodzić.

Ciekawe jest, że emancypacja Krakowa odbyła się w sferze sztuki. Bo też sztuka w Krakowie to była jedyna siła, która się mogła przeciwstawić pałacom. Zadziwiająca odnowa, jaka na przełomie wieku dokonała się tam w teatrze, literaturze, malarstwie – a dokonała się poza obrębem „dworskiego” Krakowa i zostawiając go na boku – była równocześnie wyzwoleniem miasta. „Kultura” przeniosła się z salonu do knajpy. „Szopen gdyby żył, toby pił, hehe”, byłby szepnął Przybyszewski w uszko Marcelinie Czartoryskiej, gdyby dożyła tego renesansu. Wyspiański był wychowankiem Matejki i najautentyczniejszym jego kontynuatorem; ale cóż za przeobrażenie od modeli Matejki do modeli Wyspiańskiego; od przekrwionych pychą i bogactwem twarzy magnatów, do tych zjedzonych anemią dziewczynek z sutenen! A mimo to, Wyspiański sam, jako zjawisko, i on, i jego sztuka, jakże pozostał arystokratyczny, pański! Coś jest w tych murach, coś jest w tym dziwnym mieście...

# Zakrystia

Prastary dziennik „Czas”, organ arystokratyczny, konserwatywny i klerykalny, zajmował tyle miejsca w życiu dawnego Krakowa i na tyle sposobów splótł się z moim życiem, że trzeba poświęcić mu nieco wspomnień. „»Czas« pisze, »Czas« mówi”, to były słowa, które brzęczały mi w uszach od najwcześniejszego dzieciństwa. Kiedy raz szedłem z matką na spacer, minął nas starszy pan, z dziwnymi, widocznie farbowanymi włosami, z twarzą mumii, z wypomadowanymi wąsami w szpic, w nieświeżym cylindrze, w tużurku, posuwający się tabetycznym krokiem. Spytałem matki, kto to taki. „To pan Kłobukowski, redaktor »Czasu«”. Obraz tej mumii skojarzył się w mojej wyobraźni z gazetą, która dla dziecka uzmysławiała chwilę, gdy trzeba być cicho i nie przeszkadzać komuś z dorosłych, który zatopił się w tej płachcie papieru, olbrzymiej dla oczu dziecka i całej zadrukowanej; stąd nic dziwnego, że nuda ziała dla mnie z tych czterech liter: C. Z. A. S. Zresztą słyszało się ciągle powtarzane na wszystkie tony: „Ach, ten »Czas« robi się taki nudny”. Należało do zwyczaju wymyślać na „Czas”, ale nikomu nie powstałoby w głowie, aby się mógł obejść bez niego.

Długo zapewne słowo „Czas” zostałooby dla mnie martwym pojęciem, gdyby nie zaszedł fakt, który był poniekąd rewolucją w dziennikarstwie. „Czas” – jak w Warszawie „Słowo” – stał się naraz ulubionym pismem dzieci, dzięki drukowi *Trylogii*

Sienkiewicza. Nie chcę tym oczywiście uchybić *Trylogii*, wręcz przeciwnie; ale to fakt, że, jak Polska długa i szeroka, tłumy małoletnich entuzjastów przypięły się do gazety. Ten i ów przy niej został, i oto jak się rozszerzają kręgi cywilizacji. To była słodka męka, dostawać tak pasjonującą lekturę maleńkimi dawkami, po łyżeczce. Biliśmy się z bratem o to, kto pierwszy chwyci numer gazety; nie przyszło nam do głowy, że moglibyśmy zgodnie przeczytać go razem. Oto trudności praktycznego pacyfizmu.

W zasadzie, każdy odcinek miał przechodzić cenzurę domową. W razie ujemnego wyniku cenzury, numer „Czasu” znikał, z czego zgadywaliśmy, że coś tam musiało być „tłustego” (jak wówczas się mówiło) i że koniecznie trzeba go odszukać. Dzięki temu, wszystkie niewinne sprośności Sienkiewicza tym lepiej utrwaliły się dzieciakom w pamięci, jak np. toast weselny pana Zagłoby: „Każda dziewczka hubka, każdy chłop krzesiwo, będzie iskier kupka, tylko krzeszcie żywo”. I kiedy to czytałem jako mały brzdąc, nie przeczuwałem, że w parędziesiąt lat potem będę musiał wytoczyć redaktorowi „Czasu”<sup>24</sup> proces karny, aż do Najwyższego Trybunału, o samowolne usunięcie z mojego felietonu słowa **dziwka**...

Prawda, że tamto było dziewczka, a u mnie **dziwka**. *Litera nocet*. (Przypomina mi to, jak, na cześć Gabrieli Zapolskiej, za

---

<sup>24</sup> redaktor *Czasu* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Rudolf Starzewski* w insygniach Stańczyka, w ręku kaduceus z główką Stanisława Koźmiana (według portretu Jacka Malczewskiego). [przypis edytorski]

pomocą tej maleńkiej zmiany literalnej, zaadaptowałem do niej ten portret Grażyny: „Oboje, **dziwki** i matrony wdzięki – na jednym licu zespoliła cudnie”...).

Tak więc, dzięki Sienkiewiczowi, zrozumiałem, że gazety mogą się na coś przydać i że czytanie ich nie jest może tylko czczym obrzędem. Znałem zresztą, już w zaraniu życia, osobiście wielu kolejnych redaktorów „Czasu”. Tomkowicz był serdecznym przyjacielem mego ojca; bardzo lubiłem, kiedy był u nas na obiedzie: opowiadał mnóstwo zabawnych anegdot, przeważnie z zakresu krakowskiego snobizmu. Sam zadomowiony „pod Baranami” etc., a znający całe miasto, miał sposobność do obserwacji. Opowiadał np., jak ktoś, chcąc go uczcić, zaadresował do niego list: „Jaśnie Wielmożny pan Stanisław z Wężyków Tomkowicz”. (Matka jego była z domu Wężykówna).

Długoletnim redaktorem „Czasu” był p. Michał Chyliński, szwagier całego klanu dowcipnych Rosnerów, którzy przezwali go „Chichał Myliński”, co też do niego przylgnęło.

„Czasownikami nieforemnymi” nazywano dwóch krótkich tłustych bliźniaków, braci Bochenków, którzy pisywali do „Czasu”. Nosili jednakie bródki à la Napoleon III i szare cylindry. Byli braćmi owej „panny zacnej”, kulawej starej panny Leontyny, która przegrywała Wyspiańskiemu „Warszawiankę”. Jeden z nich, profesor uniwersytetu, był ojcem biednego Luca Bochenka, owego rotmistrza ułanów, który zginął tragicznie na ulicy Krakowa, towarzysza moich lat dzieciennych. Mój Boże, ten

Kraków... ileż wspomnień na każdym kroku!<sup>25</sup>

Istotna moja zażyłość z „Czasem” na wiele, wiele lat przed moim w nim współpracownictwem, zadzierzgnęła się przez Rudolfa Starzewskiego. Zbliżył nas wspólny przyjaciel, nieodżałowany Ludwik Janikowski. Starzewski był młodym studentem prawa, przygotowywał się do ostatniego egzaminu, kiedy go zagarnęło dziennikarstwo; już w nim pozostał. Był to wychowanek oo. Jezuitów z Chyrowa, tym samym wielki sceptyk, gładki towarzyszko, ale zadzierzysty w potrzebie, umiejący bronić własnego zdania i niezależności. Niezwykle inteligentny, żywotny, niepodległy duchowo, musiał rozszerzyć sobie ten domek „Czasu”, aby w nim móc istnieć. Politykę – ówczesną politykę stańczykowsko-galicyjską! – przyjmował ten prototyp Dziennikarza z *Wesela* jako zło konieczne, „mącił tę narodową kadź” jak mógł najmniej szkodliwie, dość krytycznie zresztą oceniając swoje stronnictwo. Z upodobań byłby najchętniej redaktorem jakiegoś literackiego miesięcznika. Wychował się na literaturze francuskiej z epoki Taine'a i Renana, czytywał od deski do deski „Revue des deux-mondes”, „La Vie parisienne”. I Słowackiego namiętnie. Czytał zresztą wszystko. Bardzo towarzyski, ale tylko o tyle, o ile czuł w kimś powinowactwo myśli i smaku, żył w przyjaźni ze światem artystycznym, z teatrem, z malarzami; przebył szczepienie

---

<sup>25</sup> *Mój Boże, ten Kraków... ileż wspomnień na każdym kroku!* – tu w tekście umieszczono ilustrację z podpisem: *Jacek Malczewski* (rys. S. Wyspiańskiego). [przypis edytorski]

przybyszewszczyzny; z najżywszą grupą uniwersytecką miał kontakt przez słynne zebrania „Zeitgenossen”. Pisał dobrze, ale z trudem; za wiele wkładał w to świadomej refleksji, podczas gdy myśl, zdanie, musi się wytwarzać podświadomie, wyskakiwać gotowe, zwłaszcza w wymagającym pośpiechu dziennikarstwie. Toteż pisanie męczyło go tak, że gdy objął naczelną redakcję, przestał pisać zupełnie; nieporównany był za to jako inspirator, doradca, jako partner w inteligentnej dyskusji. Słowem ideał redaktora.

Zrazu, Starzewskiemu powierzono „Czas” poranny; urzędował tedy w nocy. Ten „nocny lokal” wabiący z plantacji szeregiem oświetlonych okien, otwarty z konieczności do bardzo późna, z nieustanną gorącą herbatą, z gospodarzem życzliwym i chętnym do rozmowy, zaczął ściągać znajomych artystów. Stąd „Czas” ówczesny miał podwójną klientelę: w dzień magnaty, hofraty i prałaty, w nocy cygany i łaziki. To była, mówiąc po wiedeńsku, „szwema” „Czasu”.

Zawsze będąc nocnym ptakiem, lubiłem zachodzić tam na gawędę. Z tymi wizytami łączą mi się zabawne wspomnienia. Byłem wówczas po trosze graczem; jak wiadomo, szczęście bywa zmienne. Otóż, kiedy wygrałem, miałem zwyczaj odnosić część łupów do redakcji „Czasu” i oddawać Starzewskiemu na przechowanie. To było bardzo wygodne; bo, kiedy znów się zgrałem, wiedziałem, że o każdej godzinie nocy mogę swoją rezerwę odebrać. Jednego razu, zgrany do nitki w baka, przypominam sobie o moim depozycie; pędzę do „Czasu”.

Widzę karetkę stojącą od ulicy św. Tomasza, służący mówi mi: „Jest ktoś u pana redaktora na konferencji”. Byłem zawsze wobec matadorów bardzo nieśmiały, wolałem tedy nie wchodzić; pomyślałem; „Przejdę się trochę i przeczekam”. Był trzaskający mróz; chodzę i chodzę, nogi mi marzną, karetka wciąż stoi, widać z daleka jej latarnie. Żal mi było zrezygnować, czułem, że się odegram! Pochodziwszy tak ze dwie godziny, zmarznawszy na kość, klnąc na czym świat stoi niewczesnego gościa, poszedłem wreszcie spać. Nazajutrz dowiedziałem się, że to tzw. „Peter” Górski, biedny garbusek, który właśnie kandydował beznadziejnie na posła, wiercił dziurę w brzuchu Starzewskiemu do rana. A czułem, że byłbym się odegrał!

Zdobywając sobie coraz więcej zaufania, Starzewski awansował w hierarchii, w końcu powierzono mu naczelną redakcję. Przez cały ów okres wciąż dążył do tego, co było dla niego antidotem na zgagę polityki galicyjskiej: starał się uczynić „Czas” organem kultury. Dało to rezultat dość paradoksalny, ponieważ równocześnie „Czas” zachował mnóstwo swych dawnych serwitutów. Stąd pismo miało jakby kilka fizjonomii. Jedna, oczywiście polityczna; druga „pańska”, znajdująca wyraz w różnych przygodnych artykułach, w iście dworskich opisach wesel, chrzcin i innych wydarzeń rodzinnych magnaterii; wreszcie w sławnych „nekrologach”, o których trzeba by powiedzieć osobno, gdyż stanowią one humorystyczną kartę „Czasu”. I znowuż dział kulturalno-artystyczny – zwłaszcza sztuki plastyczne i teatr – prowadzony żywo, przodujący, można

powiedzieć, całej Polsce. Tak więc, oryginalnym paradoksem, mamut „Czas” stał się postępowy w sprawach sztuki, gdy postępowa „Reforma” hodowała piórem niezmordowanego Prokescha największy obskurantyzm artystyczny.

Ten dział prowadził Starzewski z dużą odwagą. Ryzykował nieraz wszystko, stawał do oczu bodaj samemu papieżowi „konserwy”, staremu Dunajewskiemu. Przypominało to nieraz scenę ze *Sprawy Dołegi* Weysenhoffa ze starym Zbąskim. W istocie, starym bonzom nieraz się flaki przewracały, ale w końcu, widząc niewątpliwy sukces „Czasu”, zostawili Starzewskiemu wolną rękę. Instynkt ten okazał się bardzo trafny; kulturalna wyższość „Czasu” zachowała mu klientelę miejskiej inteligencji, skądinąd nie sympatyzującej nawet z kierunkiem pisma.

Przytoczę dwa epizody tej „polityki artystycznej” „Czasu”. Rozpoczęto cykl artykułów pt. *Nowe Klejnoty Krakowa* pióra młodego rzeźbiarza, barona Ludwika Puszeta (wciąż ten „pański Kraków”: aby skrytykować to, co napaskudził książę, trzeba było co najmniej barona!), wymierzone ni mniej ni więcej tylko w gospodarce artystyczną kardynała Puzyny w katedrze wawelskiej. Zrobiła się taka awantura, że felietony trzeba było przerwać. Furia Puzyny dosięgła nawet stryja Puszeta, lojalnego kanonika i katechety w gimnazjum. Kardynał, pod pozorem jakiejś inspekcji, wszedł do klasy, uznał przywitanie starego księdza za nie dość pokorne, i zwymyślał go wobec uczniów, krzycząc: „Na kolana!” Księżyna musiał klęknąć i pocałować kardynała w rękę. Owo: **Na kolana!**, które odbiło się echem

po Krakowie, posłużyło Wyspiańskiemu za motyw w scenie *Wyzwolenia*. Książd Puszet miał właśnie zostać prałatem; nie został; umarł rychło potem ze zmartwienia.

Drugi epizod to premiera *Wesela*. Wyobraźmy sobie, w ówczesnym Krakowie, scenę, gdy dumny, pobożny i wszechpotężny Tarnowski patrzy z łoża, jak na scenie diabli wynoszą na widłach, wraz z niecką rosyjskiego złota, hetmana Branickiego, ni mniej ni więcej, tylko rodzzonego dziadka jego żony... Tarnowski wyszedł z łoża i trzasnął drzwiami. Co napisze „Czas”? Czekano na to trzy dni. Po trzech dniach ukazał się pierwszy entuzjastyczny felieton Starzewskiego o *Weselu*, potem następne: całe studium. „Czas” przyczynił się wiele do tak rychłego zwycięstwa Wyspiańskiego, do jego konsekracji. A nadąsany Tarnowski napisał anonimowo persyflaż *Wesela*, słaby zresztą, pod tytułem *Czyściec Słowackiego*.

Stopniowo, Starzewski wprowadzał do redakcji młodych, po części dawnych przybyszewszczyków; był okres, gdzie w ogóle nie było tam starszego człowieka. I tu znów zabawny kontrast; ta redakcja reprezentująca tradycję, powagę, składała się z ludzi młodych, gdy w „Reformie”, organie postępu, siedziały przeważnie zatabaczone pierniki. Kto bywał w redakcji „Czasu”, a potem czytał numer pisma, czasami miał wrażenie, że ci młodzi ludzie przyprowadzają sobie siwe brody, jak święty Mikołaj.

Opowiem następnym razem o osobliwej symbiozie „Czasu” i **Zielonego Balonika**, symbiozie dyskretnej, ale bardzo rzeczywistej. To zbliżyło mnie jeszcze z „Czasem”; ale sam,

mimo tych serdecznych stosunków, dopiero – jak wspomniałem – w wiele lat potem, dość przypadkowo zresztą, zostałem jego współpracownikiem. Pasją Starzewskiego – odkąd sam nie pisał, było podniecać, zachęcać do pisania innych. Twierdził, że każdy ma coś w brzuchu, bodaj jeden artykuł, tylko trzeba go wydobyć. Nieraz mu się to udawało; rzecz osobliwa, z jednego tylko Janikowskiego, tej najświetniejszej inteligencji, nic nie mógł wycisnąć. Zawsze zapowiadał, że, skoro się dorobi, sprowadzi go z Wiednia do „Czasu” na stałą pensję, po to tylko, aby siedział w redakcji jako „Animiermädel”. (Do podobnej roli użył Janikowskiego Karol Kraus w swojej „Fackel”). Mnie Starzewski prawie podstępem wciągnął do recenzji teatralnych, przełamując moją nieśmiałość. Jest to dla mnie wspomnienie bardzo miłej współpracy. Starzewski był redaktorem niezmiernie sumiennym; czytał każdą literę, która szła do druku; tym bardziej mój rękopis, bo zawsze, mimo przyjaźni i uznania, obawiał się, że coś może w nim być nie dość „czasowe”. Lektura odbywała się wspólnie, bo oczywiście nie byłby mi ani przecinka zmienił bez mojej zgody. Lubilem tę przyjacielską cenzurę, w której Starzewski wciąż bronił niewinności czytelników „Czasu”, którzy znów... byli uszczęśliwieni, że ktoś nareszcie tę niewinność gwałci. Wówczas była to mała rewolucja w obyczajach pisma, które miało – jak „Tygodnik Ilustrowany” – za zasadę, aby mogło leżeć na stole w domu, gdzie są córki; dziś wyda się to wszystko straszliwie dziecinne. Czasem bawiłem się tym, aby przemycić coś w ten sposób, że Starzewski nie zauważył. Pamiętam

np. jego tragicomiczną rozpacz, kiedy spostrzegł – już po wyjściu numeru – że w recenzji z *Miłosierdzia* Rostworowskiego wsunąłem niewinnie zwrot: „zakon Benedyktynów czy też Pipermentów”. – Jak ja mogłem to puścić! wołał. Gdyśmy się nie mogli zgodzić, braliśmy za superarbitra Stanisława Estreichera, który zwykle stawał po mojej stronie. Czasem, przewidując trudności, dawałem coś „na wyrost”: zaceniałem, aby móc spuścić. Raz np. przymówiłem coś świętej Kindze i, w tym samym felietonie, w innym miejscu, użyłem słowa „gatki”. To było ciężkie przejście! Targ w targ, Starzewski mówi: „Święta to święta; w tych rzeczach »Czas« nie może znać kompromisu; ale ustąp mi świętą Kingę, a ja ci ustąpię gatki”. Cudownie się bawiłem tym stopniowym rozszerzaniem skali wytrzymałości czcigodnego „Czasu”.

Dziś zabawne się wyda, że dorośli ludzie mieli czas i głowę na takie rzeczy; ale czyż nie mówiłem, że w Krakowie nic się nie działo tak jak gdzie indziej?

Kochana redakcja „Czasu”! Ten cichy kącik przy ulicy Św. Tomasza... („Niewierny Tomasz”, cóż za symbol!). Ten stary parterowy dworek, tonący w zieleni plantacji i ogródka, ta odrapana, ledwie że zamieciona sala redakcyjna – ta zecernia, gdzie nie śniło się o linotypach ani maszynach rotacyjnych; metrampaż Stabrawa, typowy „stary sługa”, najprzywiązany do pisma burczymucha, który bodaj najgrubszą ekscelencję umiał wyprosić za drzwi swoim: „panowie tu gadu, gadu, a numer musi wyjść” – jakże to wszystko miło sobie przypomnieć! I ta

gromadka młodych cyników, z talentem celebryjąca Krakowowi jego codzienne nabożeństwo! Jak tam bywało wesoło, ile pierwszorzędnego dowcipu spalali oni w tej redakcji, z czego nic prawie nie przenikało do pisma, bo nie pozwalała – powaga! Ilekroć niejeden z nich musiał dokładać wysiłków, aby pisać dostojnie, kiedy go pióro świerzbiało do jakiego żartu! Toteż, im bardziej każdy numer „Czasu” był uroczysty i godny, tym więcej zostawało ognia na wewnętrzne życie redakcji, które kipiało szelmowskim humorem. Aż w końcu musiało trysnąć na zewnątrz, to było nieuniknione. Droga znalazła się sama przez się. „Czas” był najściślej związany sympatiami ze światem malarskim; skoro tedy malarze skupili się pod sztandarem **Zielonego Balonika**, dusza sędziwego a tak młodego „Czasu” przeniosła się do „Jamy Michalikowej”. I to także stanowi jedną z nienajmniejszych osobliwości dawnego Krakowa.

# Odwet Stańczyka

Krakowska szkoła polityczna, która od nazwiska nadwornego błazna króla Zygmunta I przezwana się „stańczykami”, zapomniała o jednym: o tym, że Stańczyk był – wesołkiem. Mógł – jak na obrazie Matejki – zadumać się gorzko nad przyszłością narodu, ale z zawodu był błaznem. To jedno jest pewne; reszta jest mitem. O ile Tarnowski z Szujskim zaczęli na łamach „Przeglądu Polskiego” od satyrycznych jasełek (nie znam tych jasełek, ale nie mam jakoś zbytniego zaufania do ich humoru), później zatraciło się to zupełnie: **stańczyk** – to był synonim powagi, jegomość uroczysty i nadęty. Herszt stronnictwa, Michał Bobrzyński, sławny był z tego, że nigdy w życiu nie zrozumiał żadnego dowcipu; bardzo go irytowało, gdy się ludzie śmiali, a on nie wiedział dlaczego; a nie było sposobu mu wytłumaczyć. Ładny Stańczyk! Aż wreszcie cień Stańczyka, zniecierpliwiony, wziął odwet; wtargnął do fortecy swoich rzekomych potomków, do „Czasu”, zadzwonił dzwoneczkami, wywinął błazeńskim berłem, parsknął śmiechem, zaraził nim wszystkich i pociągnął ich hurmem do gospody, czyli, jak się mówi z cudzoziemska, do **kabaretu**.

A były zarazki śmiechu w tym smutnym mieście. Kraków był bardzo dowcipny. Miał swoisty humor. Stłoczenie żywiołów intelektualnych, leniwe tempo życia, nadmiar sposobności do wzajemnej obserwacji, reakcja wywołana ciągłą pompą, celebry,

wszystko to stwarzało specjalny rodzaj wytwornego kpiarstwa. Centralą krakowskiego dowcipu był „Czas”. Przewijało się tam tyłu ludzi, każdy zostawił jakąś anegdotę, jakieś powiedzonko, uronił jakąś śmiesznośćkę... Gabinet redaktora to był almanach charakterów, konfesjonał próżności, ambicji, maniactwa. Starzewski, wykarmiony na francuskich klasykach, mający zawsze tomik Chamforta czy La Bruyère'a przy łóżku, był smakoszem dobrej anegdoty, kolekcjonerem typów, zdarzeń, pasjonowanym spektatorem<sup>26</sup> komedii ludzkiej. I nie tylko on. Nigdzie się tak dobrze nie bawiłem, jak w tej redakcji „Czasu”, w tym *Quiproquo* intelektu, gdzie *conférencierem* bywał na przemian Władysław Leopold Jaworski, Ignacy Rosner, Witold Noskowski, Tadeusz Smarzewski, Żuk-Skarszewski... To był niby młynek na zboże, gdzie wiatrem dowcipu przewiewało się wszystko, przy czym często – z konieczności – ziarno zostawało na użytek prywatny, a plewy szły pod prasę.

„Czas” miał dla mnie, od młodu, ogromne znaczenie wychowawcze. Pasjami lubiłem tę ostrą sceptyczną atmosferę, atmosferę kulis życia, gdzie oglądało się wszystko od drugiej, poufnej strony, wszystko się sądziło, wszystko ważyło. Dyskusje kawiarniane wydawały mi się zawsze dość jałowe, jako królestwo dialektyki; „Czas” – to było królestwo faktu. Cokolwiek się działo w mieście czy w kraju, czy szło o błahą plotkę, czy o ważne wydarzenie, z nałogu szedłem do „Czasu”, aby spytać: „Powiedzcie mi, jak to jest **naprawdę**”. Dawano mi

---

<sup>26</sup> *spektator* (z łac. a. z fr.) – widz. [przypis edytorski]

zwykle trzy wersje; jedna: jak jest w istocie; druga: co się mówi; a trzecia: co trzeba będzie napisać. To była dla mnie nieoceniona szkoła perspektyw życia.

Ileż tych miłych pogawędek na zniszczonej, dziurawej, ceratowej kanapie! Bo, trzeba przyznać, komfortu tam nie było. Ile żartów, pogwarek na stojąco, którym kładła koniec ostra interwencja starego metrapaży. W pośpiechu pracy kochany Tolo Noskowski doprowadził do perfekcji lapidarność aforyzmu; raz dlatego, że istotnie był zapracowany, a po wtóre, że zająkował się trochę nerwowo, więc nadrabiał to zwięzłością. Jednego dnia zapytuję go na przykład o któregoś z młodszych mężów stanu, o którym nagle zaczęło być głośno. „Słuchaj, Tolu, powiedz mi w dwóch słowach, jak z nim jest właściwie, bo wciąż słyszałem: dureń, dureń, a teraz nagle wielki człowiek”. Noskowski zastanowił się chwilę i rzekł: „Powiem ci. Tt... to jest dureń, który się bb... bardzo wyrobił”.

Każdemu, kto tam wszedł, udzielała się ta atmosfera miłej swobody intelektualnej. Ksiądz profesor Hortyński, bardzo sympatyczny jezuita, gawędził sobie np. ze mną o Pascalu. Wmieszał się ktoś z redakcji, zapytując, co to właściwie jest ta „kazuistyka”, co to były „Prowincjałki” i o co chodziło w tym sporze. Dałem popularny przykład: Kobieta, dajmy na to, parała się nierządem i zrobiła na tym majątek. Przyszła na nią skrucha; idzie do spowiedzi i postanawia odmienić życie. Chodzi o dyrektywę dla spowiednika: czy ona jest obowiązana ten majątek, pochodzący z nieczystego źródła, restytuować?

Ówczesna kazuistyka jezuicka orzekłaby, że nie... – Oczywiście, że nie! – wpadł mi w słowo ksiądz Hortyński. Jak to! Skąd?! Więc może i ta szwaczka, która jej szyła koszule do nierządu, miałaby restytuować? Do czego byśmy doszli? Aż się zaperzył dobry ksiądz.

Nigdy tak wyraźnie nie uczułem, do jakiego stopnia spór między religią „w czystej formie” a religią w znaczeniu pragmatyzmu społecznego jest wciąż aktualny. Ta rozmowa sprawiła, że pisząc przedmowę do *Prowincjalek*

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.